Nr. 18. Lwów, —— 1893 r. Wydawnictwa Rok XVI.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo illustrowane.

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a. — **„Wesoły Kurjerek“** dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 1., 10 i 20. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p t. **Wesoły Kurjerek** wychodzące dwa razy na miesiąc. Prenumerata na **Gońca** i **Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.** W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce połudn., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Ś. p. Józef Supiński.

(Patrz artykulik w dziale: »Od ręki«).

Po pierwszym wiecu katolickim
w Krakowie.

(Dokończenie).

Z pomiędzy wielu innych zdań i sądów, które wymagałyby stanowczej odprawy — a którą uniemożliwiła fatalna krótkość czasu -- notujemy tylko bolesny zarzut, uczyniony prasie polskiej przez księdza Korzeniowskiego. Szanowny kapłan ten wyraził się, że w Polsce nie ma ani jednego katolickiego dziennika. — Taki kamień potępienia mógł rzucić ten tylko, kto naszych stosunków dziennikarskich absolutnie nie zna, nurtujących w niem prądów nie rozumie — i nie ma najmniejszego wyobrażenia o tem, jakiem jest dziennikarstwo polskie. Nie mamy zamiaru omawiać każdego dziennika z osobna. Twierdzimy tylko stanowczo, że w tym względzie jesteśmy echem ustalonej opinji publicznej, że w Polsce całej, nie ma ani jednego pisma, któreby przeciwne wierze katolickiej głosiło zasady. Właśnie to przynosi zaszczyt naszej dziennikarskiej drużynie, że sztandaru patrjotycznego i wiary ojców naszych nie zaparło się nigdy. — Ono, to lub owo krytykować może, w tym lub owym kierunku odmienne ma zdania — błądzi nawet czasami — ale krytyka, choćby nawet nieuzasadniona, nikomu ujmy nie przynosi i zdrajcy nie oznacza

Dziennikarstwo polskie (nie mówię o kilku pisemkach robotniczych), nie sprzeniewierzyło się nigdy sztandarowi Wiary świętej — chociaż właśnie tam, gdzieby należało — nie doznaje należytego poparcia i pomocy. U nas wspiera się dziennikarstwo, jakby z łaski, z niechęcią, — nie otacza się zaś dziennikarzy należytą opieką i poważaniem — uważa się ich za wykolejonych i parjasów!

Dziennikarstwo polskie nie sprzeniewierzyło się sztandarowi katolickiemu nawet w Warszawie, gdzie przeważnie żydzi są wydawcami! O tem powinien pamiętać ksiądz Korzeniowski i zastanowić się dobrze, czy walka, którą pragnie rozpocząć w swoim organie, nie będzie śmieszną utarczką z wiatrakami. Szkodaby bowiem było, aby powstał jeszcze jeden dziennik, prowadzony przez niefachowego i z dziennikarstwem nic wspólnego nie mającego człowieka — zwłaszcza, jeżeliby pierwsze koszta wydawnictwa miały być pokryte, jak nas wieści dochodzą, z funduszu przeznaczonego na podupadłych księży; na powodzenie, bowiem, w żadnym razie takie niedołężne wydawnictwo liczyćby nie mogło!

Z powodu tego odczytu, słuszny może mieć żal dziennikarstwo polskie, że spraw jego tak ważnych i doniosłych nie raczył komitet powierzyć dziennikarzowi z powołania.

Brak treści i doniosłości wiecu pokrywał niewątpliwie blask zewnętrzny. Na publicznych posiedzeniach wygłoszono mowy wspaniałe. Zgromadzenie zaś złożone z arystokracji rodowej i książąt Kościoła, między którymi jaśniała w całym blasku czcigodna postać księcia kardynała Dunajewskiego i ks. metropolity Sembratowicza, było zaiste świetne. — Szkoda jednakże, że komitet zapomniał o ludzie wiejskim, którego reprezentantów brakło! Pozwolono im tylko na zakomunikowanie uchwał powziętych przez stronnictwo chłopskie — zresztą, z wyjątkiem na uczcie, gdzie ich w ostatniej dopiero chwili wprowadzono, siermięgi nie widziałeś nigdzie! Snać szanowny komitet uważał dotychczas, że prawdziwi katolicy tylko w pałacach mieszkają!

Żądamy i domagamy się stanowczo, aby przyszły wiec katolicki pozbył się tej cechy kastowości, a obejmował wszystkie warstwy polskiego i ruskiego społeczeństwa. Domagamy się wreszcie, aby w przyszłości

unikano obecnie popełnionych błędów, które obniżyły wartość wiecu, mogącego mieć doniosłe dziejowe znaczenie. Komitet bowiem powinien pamiętać, że nie zwołuje się wiecu katolickiego gwoli zadowoleniu ambicji i dumy, lecz dla dobra i na cześć Świętej naszej Matki, Kościoła katolickiego i Wiary Chrystusowej. *I. H. B.*

Od ręki.

= Ś. p. Józef Supiński.

Gdy w marcu śmierć przecięła nić tego zasłużonego męża, twórcy „polskiej szkoły gospodarstwa społecznego" zamieściliśmy w Nr. 8 naszego pisma krótki życiorys ś. p. zmarłego. Dziś podajemy jego portret, według fotografji, zdjętej na kilka tygodni przed śmiercią.

= Kronika żałobna.

I znowu śmierć nieubłagana wyrwała ojczyźnie jednego z jej dobrych synów. Na obczyźnie, na wygnaniu, umarł Franciszek Duchiński, mąż znanej poetki. Urodzony w roku 1817 od dzieciństwa pozostawał pod opieką rodziny Tyszkiewiczów. Już w młodości objawiał wielki zapał do badań historycznych, a archiwum, które znalazł w domu Henryka Tyszkiewicza, marszałka kijowskiej gubernii dało mu po temu obfity materjał. Nauce historji nie sprzeniewierzył się nawet na wygnaniu, gdzie wypędziły go nieszczęsne wypadki polityczne. I teraz dopiero, już we Francji rozwinął Duchiński całą działalność historyczną. Teorją o pochodzeniu moskali, którym zaprzeczył pochodzenia słowiańskiego, a zaliczył ich do szczepu mongolskiego — zyskał europejską sławę, a pomiędzy uczonymi wszelkich narodowości znalazł licznych zwolenników, którzy przez długi czas tworzyli osobną szkołę. W szkołach nawet francuskich używano podręczników historji, które rozwijały teorję Duchińskiego. Dzisiaj ze zmianą usposobienia dla kolosu północy — służalce poliryki caratu usunęli tę teorją z porządku dziennego. Naukowej jednakże wartości nie straciła ona wcale, gdyż jest opartą na doskonałej obserwacji życia społecznego rosjan, na wybornej znajomości ich historji i politycznych dążności.

Nie wszystkie dzienniki polskie mogły dać wyraz hołdu pamięci uczonego i zacnego patrjoty. Cenzura moskiewska skreśliła bowiem w warszawskich gazetach najmniejszą wzmiankę o tym, który szablą i piórem walczył przeciw haniebnym i krwiożerczym instynktom caratu.

W nocy z soboty na niedzielę z 22. na 23. lipca b. r. zmarł w Wiedniu austrjacki minister wojny Ferdynand Bauer. Urodził się on w roku 1825 we Lwowie, gdzie ojciec jego był właścicielem restauracji. W 11 roku życia wstąpił do szkoły kadeckiej i odtąd poświęciwszy się karjerze wojskowej szedł szybko ze stopnia na stopień, aż w r. 1888 dosięgnął najwyższego zaszczytu i został mianowany ministrem wojny. Brał udział w wojnie włoskiej, gdzie odznaczył się pod Solferinem, za co otrzymał wojskowy krzyż zasługi; był także kawalerem wielu innych orderów. Jako kapitan jenerała Hammersteina brał także udział w bombardacji m. Lwowa. Jako minister trudne swe obowiązki spełniał ś. p. zmarły zawsze gorliwie i niezmordowanie niemal do ostatniej chwili.

Całe życie był zawsze szczerym przyjacielem polaków, i dom swój prowadził po polsku. Ożeniony był z lwowianką panną Hauenschildówną. Pogrzeb jego odbył się we czwartek we Lwowie, gdzie zwłoki jego złożono do rodzinnego grobowca. Wdowa po nim zamieszkała u krewnych na Podolu.

= Teatr krakowski.

W czwartek 27. lipca b. r., krakowska Rada miejska rozstrzygnęła konkurs, rozpisany przez nią na dzierżawę nowo zbudowanego teatru w Krakowie. Wpłynęły trzy oferty, a mianowicie wnieśli je: dotychczasowy dyrektor krakowskiej sceny p. Jakób Glikson, p. Tadeusz Pawlikowski, syn redaktora *Nowej Reformy*, p. Mieczysława Pawlikowskiego i spółka złożona z pp. Mieczysława Sachorowskiego, dotychczasowego sekretarza teatru krakowskiego, oraz p Romana Żelazowskiego, artysty sceny lwowskiej. Rada znaczną większością, bo 33 głosami na 39 głosujących, oddała teatr p. Tadeuszowi Pawlikowskiemu. Pan Glikson otrzymał 5 głosów, jedna kartka była próżną. Nowemu dyrektorowi polskiej sceny zasyłamy jak najszczersze życzenie: Szczęść Boże!

= Kolej elektryczna.

Rada miejska lwowska uchwaliła tramwaj elektryczny, a wykonanie jego oddała wiedeńskiej firmie Siemens i Halske. Nadto uchwaliła rada utworzyć Towarzystwo akcyjne krajowe, któreby potem kolej tę objęło na siebie i ruch na niej prowadziło. Myśli tej tylko przyklasnąć możemy, bo zawsze byliśmy za tem, aby wszelkie przedsiębiorstwa rentujące się — a takiem będzie ta kolej — dostawały się w ręce krajowców, a nie były dojną krową dla prusaków i innych cudzoziemców. Uchwalona przez radę kolej elektryczna przyczyni się do podniesienia wystawy, która otwartą będzie w roku przyszłym, gdyż ułatwi do niej komunikację. Wystawa zapowiada się świetnie. Będzie ona prawdziwym obrazem rozwoju naszego przemysłu. Podczas niej odbędzie się wiele przeróżnych zjazdów; zapowiedziało także swe przybycie liczne grono naszych rodaków z poza oceanu, z północnej Ameryki.

= Dla oświaty ludu.

Przeszło czterdziestu literatów, profesorów, adwokatów, lekarzy i przemysłowców zawiązało w Paryżu Stowarzyszenie, mające na celu szerzyć wykształcenie umysłowe między ludnością wsi i miast. Postanowiono wygłaszać przystępne a bezpłatne odczyty i rozpowszechniać między ludem również bezpłatnie książki naukowej treści. Program odczytów i broszur obejmuje: medycynę praktyczną, hygienę, rolnictwo, rachunkowość, meteorologię, historję Francji, przepisy prawne, w ogóle wszystkie gałęzie wiedzy, zastosowane do zakresu pojęć ludu. Inicjatorem tej pracy jest p. Guerin-Catelin, pomoc zaś przyrzekli Simon, Ferry, Lockroy, Pasteur, Sarcey i inne znakomitości literackie i naukowe. — I u nas warto byłoby pomyśleć nad podobnym sposobem rozszerzania oświaty wśród ludu.

ZŁAMANE ŻYCIE.

Powieść

Ludwika Enault.

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy. Patrz nr. 17).

I rzeczywiście, niejeden malarz przeniósłby na płótno uroczy ten obraz. Stara babka z białą, zmarszczkami pokrytą twarzą, zarzucona fijołkami i pierwiosnkami, uśmiechała się do wnucząt, które tuliły się do niej trochę zalęknione. Krystyna, klęcząc ciągle, z twarzą zwróconą ku Jerzemu, spoglądała z wyrazem przestrachu i zdziwienia, jak sarna spłoszona w głębi lasu Wiatr igrający z jej włosami, rozplótł jeden z warkoczy, który w złocistych pierścieniach spływał na jej ramiona.

Jerzy wzruszony i zachwycony zachował piękny ten obraz w duszy. Ale bywają takie położenia, których nie należy przedłużać; postąpił też parę kroków ku Krystynie i podał jej rękę, aby pomódz powstać.

Może zatrzymał trochę za długo tę rączkę. ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

— A zatem przedstawiać was nie mam potrzeby, skoro się znacie — rzekła pani Brahé. — Winszuję wam obojgu tego spotkania. Hrabio, kocham panią Rudden, jak własną córkę, jesteś więc, jakby w rodzinnem kółku.

Dzień ten przeleciał lotem strzały dla Jerzego. Młodzieniec czuł się niewypowiedzianie szczęśliwym ze spotkania Krystyny. Wydała mu się sto razy piękniejszą, niż na balu, może dla tego, że tu mógł sam jeden wyłącznie napawać się jej urokiem. Hrabina była ubrana czarno i Jerzy utwierdził się w tej chwili w mniemaniu, że barwa ta była najbardziej dystyngowana i najwłaściwsza, gdy chodzi o podniesienie wdzięków kobiet wysokiego wzrostu. Fijołkowe kokardy podpinały gdzieniegdzie czarną krepową suknię, łagodząc surowość żałobnej barwy. Jerzy ze swej strony był pełen dowcipu.

Ona także czuła się szczęśliwą, ale szczęście jej mącił jakiś tajemny niepokój, graniczący z obawą.

Łódka z Upsali miała zabrać hrabiego po południu i odwieść go do Sztokholmu. Krystyna mieszkała po drugiej stronie jeziora, dość wąskiego w tem miejscu. Z okien zamku można było widzieć powóz, czekający na swą panią w małej przystani, zbudowanej dla użytku dwóch sąsiednich zamków. Łódź ze Skoklosteru odbijała wówczas tylko od brzegu, skoro na drugiej stronie pokazały się konie. Stanęło na tem, że Jerzy miał towarzyszyć Krystynie do powozu i, że łódź zaczeka na statek parowy, który po chwilowem zatrzymaniu się dla odebrania i oddania listów odpływał natychmiast dalej. Propozycja ta była zupełnie naturalna i wszyscy przyjęli ją jednogłośnie. Ale stara hrabina, która raz w życiu spóźniła się na statek, obawiała się zawsze tej samej nieprzyjemności dla swych gości, kiedy więc zbliżała się chwila odjazdu, hrabina nagliła do pośpiechu, o co Jerzy nie gniewał się wcale.

Pani Rudden zaś, jak potem sama wyznała, nie czuła się w tej chwili panią swojej woli; szła za impulsem zewnętrznym, nie czując sił do stawienia oporu. Zawiązawszy kapelusz z gorączkowym pośpiechem, uściskała córeczkę przyjaciółki tak serdecznie, że dziewczynka zawołała mimowoli:

— Nie tak mocno, bo boli.

Jerzy z kapeluszem w ręku stał spokojnie, tłumiąc w sobie niecierpliwość; pomyślał tylko, że pożegnanie zbyt długo się przeciągało i, że te niezliczone czułości, któremi się kobiety obsypują, zabierają wiele drogiego czasu mężczyznom. Nareszcie, Krystyna przyjęła rękę, którą jej podawał i weszła do łodzi.

— Bądź zdrowa! do widzenia! pisz do nas! — rozległy się razem wołania, poczem obie panie wróciły z dziećmi do zamku, a podróżni nasi po kilku uderzeniach wiosła ujrzeli się na środku wody.

Gdy Jerzy i Krystyna znaleźli się sami w łodzi z wioślarzem, czystej krwi szwedem, nie rozumiejącym, ani słowa po francusku, uderzyło ich najpierw jednocześnie oryginalne ich położenie i spojrzeli na siebie z uśmiechem i powiedzieli sobie, że nie spodziewali się takiego spotkania.

— A jednak, musieliśmy się spotkać — rzekł Jerzy.

— Ja pragnęłam tego — odpowiedziała Krystyna z tą szczerością i prostotą, która

wprowadzała w zachwyt wszystkich jej znajomych.

Siedzieli obok siebie na wąskiej ławeczce w głębi łodzi. Jezioro Clara, leżące tuż za jeziorem Melar, nie jest zbyt szerokie w okolicy Skoklosteru, ale niskie brzegi są nader malownicze i pełne urozmaicenia. Skały z granitu i porfiru, rozrzucone tu i owdzie, sterczą, jak skamieniałe olbrzymy; parę wysepek rozrzuconych po jeziorze w nierównych od siebie odstępach, przerywa jednostojność linij i ożywia krajobraz, któremu za wspaniałe tło służy wielka kwadratowa masa zabudowań Skoklosteru w ciężkim stylu wieku XVII.

Wieczór był dziwnie uroczy, różowe obłoczki przebiegały po pięknym jasno-niebieskim widnokręgu niebios północy, białe i srebrzyste mgły, niesione lekkim wiatrem, przesuwały się po zielonem jeziorze.

Pan Simiane i pani Rudden doznali z początku chwilowego zakłopotania, pełnego wdzięku u mężczyzny i kobiety, znajdujących się po raz pierwszy sam na sam, a obok tego przejętych prawdziwem i głębokiem wzruszeniem. Mając za wiele sobie do powiedzenia, milczeli oboje. Jerzy spoglądał ukradkiem na piękną twarzyczkę Krystyny, która upuściła koniec trzymanej gałązki w wodę. Chciała poprawić szal, ktory w skutek wiatru zsunął się z ramion, lecz Jerzy uprzedzając życzenie pochwycił oba końce kaszmiru i związał je na krzyż z pieszczotliwością młodej matki. Krystyna zadrżała, a Jerzy mimowolnie dotknął jej ręki.

— Jak pani zimno! — rzekł głosem pełnym czułości.

— Rzeczywiście — odpowiedziała Krystyna, nie podnosząc oczów — u hrabiny było bardzo gorąco, a teraz powietrze znacznie się ochłodziło; ta nagła zmiana podziałała na mnie, ale to przejdzie, a przytem droga jest tak krótka...

Jerzy zamiast odpowiedzi rzucił u nóg Krystyny wierzchnie swe okrycie. klęknął przed nią i otulił nogi.

— Jakże pani teraz?

— Lepiej, zupełnie dobrze... A panu?

— Ach! ja!... - zawołał głosem, w którym drgały wszystkie struny jego wzruszonej duszy.

Pozostał w tej samej postawie i patrzył na nią klęcząc. Być może, że tak należy patrzeć na piękne kobiety, bo wydają się stokroć piękniejszemi. Oddaje się im przez to najpierw hołd, zanim się je ukocha, a wtedy też spojrzenie ich zwraca się ku nam z niezwykłą słodyczą, przysłonięte rzęsami długich powiek. Oczy te mają wówczas zachwycający wyraz. Głęboka, niewysłowiona czułość jaśniała na twarzy Jerzego, stłumił on ogień namiętności w swych oczach, zachowując tylko blask łez, gotowych lada chwila wytrysnąć. Krystyna pomimowolnie spotkała się z jego wzrokiem, jakby pociągnięta magnetycznym urokiem jego pięknych czarnych oczu. Lica jej pobladły, bicie serca ustało, ale usta drżały, a cień opuszczonych rzęs poruszał się, jak skrzydła ptaka.

— Powstań pan — rzekła do Jerzego tak cicho, że zaledwie mógł dosłyszeć, a gdy pozostał mimo to na klęczkach, zawołała: — Proszę pana o to — i podała mu rękę.

— Było mi tak dobrze! — odpowiedział. I usiadłszy przytrzymał jej rękę w swoich.

Zamilkli, bo czyż byłyby słowa zdolne zastąpić to wymowne milczenie?

— Odezwij się pan — rzekła Krystyna z udaną wesołością — pomyślałby kto słusznie, że się pan boisz zbudzić ryby w jeziorze.

— Nie — odpowiedział — milczałem, aby nie spłoszyć moich marzeń.

— Marzenia odłóż pan na chwilę samotności

Jerzy nic na to nie odpowiedział, a Krystyna, jakby lękając się milczenia, przerwała je szybko.

— Jak piękny jest starożytny ten zamek — zawołała, wskazując wieżyce zamku Brahe, oblane promieniami zachodzącego słońca.

— Tak — odrzekł Jerzy, patrząc, a nie widząc — dla mnie ma on tem większy urok, iż łączy się teraz z najdroższemi wspomnieniami mego życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przy walcu Szopena.

Widzisz tę chmurkę, co tam wysoko
W tej chwili słońce zakryła nam?
Dlaczego za nią goni me oko?
Ja twoją postać dostrzegłem tam!
Patrz!... Jakże szybko mknie po przeźroczu,
W jak dziwne kształty układa się...
O nie trać czasu... nim zginie z oczu,
Spytaj tej chmurki, czy kocham cię?!

Zapóźno!... czyste niebios zwierciadła!
W mgłę lekką chmurka zaklęta już!
I ot.. na ziemię rosą upadła,
Kojąc cierpienia spragnionych róż.
W perełkach rosy twarz ukochaną
Widzę odbitą... o nie rwij, nie!...
Rwiesz... lecz nim róże żyć zaprzestaną,
Spytaj tych kwiatów, czy kocham cię.

Słyszysz?... Przypływa do nas muzyka,
A tony pełne miłości są!
Czyż z nich ci każdy w duszę nie wnika?
To walc Szopena!... Pamiętasz go?
Grałem go kiedyś... grałem go szczerze...
I w oczach twoich dostrzegłem łzę...
Wtedyś mi rzekła: —„Teraz już wierzę...
Jam twoja wiecznie i kocham cię".

Ona milczała... a walca tony
Cichnęły zwolna .. kończył się już...
Ona milczała... on odurzony,
Poznał, że wielbił chwasty, miast róż.
I wewnątrz była ta czara pusta,
A z wierzchu tylko zwodniczy szych...
Szyderstwo siadło na jego usta...
Zaśmiał się głośno... a walc wnet ścichł!..

A. Jastrzębiec.

Ze Szczawnicy.

I.

Jeśli sobie dobrze przypominam, to lat poprzednich na tem samem miejscu w *Gońcu i Iskrze* i w innych dziennikach, wyczerpałem wszystkie superlatywy na korzyść nadobnej Szczawnicy, którą, zdaje mi się, awansowałem z księżniczki na królowę zdrojowisk polskich. Jako polski dziennikarz, nie posiadam w swojem rozporządzeniu wyższych tytułów i dekoracyj — wprawdzie, nowocześni dyplomaci, czy politycy, utrzymują, że pisarstwo, niby jest coś większego od królestwa, więc mógłbym gwoli bieżącej nomenklatury politycznej, nazwać Szczawnicę w tym roku, cesarzową wód polskich, ale tytuł ten tak nie przypada do niej, jak np. baron do polskiego, szlacheckiego nazwiska Owoż, trzeba poprzestać na „królowej" i patrzeć na nią z tym podziwem, że ta urocza pani, nietylko się nie starzeje, ale co rok pięknieje i co rok więcej zawraca głowy tym wszystkim, co na wdzięki, szczególniej też niewieście, obojętnymi być nie mogą. Nie potrzebuje ona pudru, ani kosmetyków, ale mądrych, pieczołowitych i kochających rąk ludzkich — tych pragnie, tych pożąda i do tych ma prawo, aby zachwycać, uzdrawiać i pokrzepiać na ciele i na duchu.

Szczawnica wywiera szczególniej w początku pobytu w niej, pewien wpływ zapomnienia — myśl czepia się wszystkimi szponami tego, co ją otacza i nie sięga do tej sfery, do tych sytuacyj, do tych spraw, do tych interesów wreszcie, w których zwykle pracuje...

Powiadają: „każdy ma swego móla, co go gryzie" — otóż, ten mól w Szczawnicy, na pewien czas w piersiach ludzkich zamiera, a właściwie zasypia, jak niedźwiedź na zimę, potem budzi się i ssie, i żre, jak dawniej... Chociaż, powiadają również, że zdarza się często, iż szczawnicka atmosfera zamorduje móla w ludzkich piersiach i przy pomocy „Józefinki", „Walerji" i „Wandy przetranslokuje go do... żołądka, a z tamtąd — bywaj już zdrów holenderski śledziu!...

Tak jest — człowiek zapomina w Szczawnicy o tem wielkiem szerokiem życiu, które przecież płynie po świecie i kładzie ludzi pod ziemię, mimo Szczawnic, Krynic, Francesbadów, Karlsbadów i innych tym podobnych uzdrowisk i restauracyj naszej kruchej, ale dość wytrwałej powłoki, którą najlepiej, podobno, nazwać, skrzypiącem, a długo wlokącem się kołem...

Ja także utonąłem w Szczawnicy — może dla tego, że jestem jej fanatycznym wielbicielem, może dla czego innego, ale... oto fakt.

Rzecz dzieje się na deptaku — realizm.

— Dzień dobry pani! kłaniając się pozdrawiam panią Z., nadobną mężatkę, chwilowo osamotnioną, co, oczywiście, dodaje wdzięku każdej mężatce.

— Dzień dobry panu.

— Wygląda pani, doprawdy, jak zarumieniony od wschodzącego słońca poranek...

— Poetycznie powiedziane, ale poprostu zaczerwieniłam się, bo strasznie głowa mnie boli...

— To nie przeszkadza, że tak pani do twarzy — ale wie pani — ja dam lekarstwo...

— E, to nie pomoże...

— Mojej żonie i córce zawsze pomaga...

— A, pan ma córkę?...

— Ośmnastoletnią.

— Ładna?...

— Podobna do mnie.

— Tak...

Pani się uśmiechnęła...

— Jakież to lekarstwo?...

— Proszki antipirynowe.

— A bez recepty dadzą w aptece?

— Sprobujemy.

Idziemy, tedy, do apteki.

Za „ladą", wyrażając się po lwowsku, stoi elegancki młodzieniec, który w chwilach wolnych, śmiga na welocypedzie po drodze do zielonego potoku, a w chwilach nie wolnych, kręci pigułki i napadają go czarne myśli socjalistyczne na temat: dlaczego pryncypał leży do góry brzuchem i tylko pieniądze zabiera, a on młody, z takim wściekłym apetytem, z fantazją rozczochraną, jak żydowska broda i z sercem bijącem, aż kamizelka odskakuje — dlaczego on, musi wypsztykiwać z papieru proszki i dusić się w aptecznej atmosferze...

— Mogę dostać proszków antipirynowych? pyta pani.

— Dla pani?

— Tak jest, głowa mnie szalenie boli...

— Owszem — zaraz przyrządzę, a może ten pan jeden zażyje?

— Jeśli można..

— O bardzo proszę — i szanowny farmaceuta jął się do jakichś flaszek i wkrótce zaczął bardzo zręcznie przytykać w papier.

Gdy się to działo — ja spostrzegam *Dziennik Polski* leżący na kanapie i choć, szczególniej w Szczawnicy mam wstręt do czytania w ogóle, a do gazet w szczególe, biorę *Dziennik* do ręki i zatapiam się w organie lwowskiej demokracji, która ogromnie lubi barszcz z uszkami, zrazy z kaszą, flaki i mówki patrjotyczne potrafi rżnąć nawet wtedy, gdy takiego patrjotę postawi do góry nogami...

Czytam bardzo ładny artykuł wstępny do połowy, macam oczami tu i owdzie kroni-

[illegible]ę, zatrzymałem się nieco dłużej na korespondoncji z Krynicy i utonąłem w telegramach...

— Masz tobie ! zawołałem—znowu cholera !...

— Co znowu ! odwróciła się do mnie pani Z. popijając wodę po zażytym proszku.

— O jest telegram — mówią — w Wiedniu jakiś Talma przyjechał z Rosji do Wiednia, zachorował na cholerę i umarł...

— A to dopiero ! zawołała pani.

— Przepraszam pana — odzywa się z za „lady" grzeczny farmaceuta — ale ten *Dziennik Polski*, to jest... przeszłoroczny...

Srebrny chichocik pani Z. rozległ się po aptece...

— Wie pan co? — mówi pani Z. — dziennikarz, redaktor czytający przeszłoroczną gazetę i udzielający z niej wiadomości, to przecież tylko w Szczawnicy zdarzyć się może...

— Ma pani słuszność, chociaż te przeszłoroczne wiadomości były tu dla mnie w Szczawnicy... bardzo zajmujące i, doprawdy, wystarczające... Ale, panie kochany, zwracając się, mówię do farmaceuty — cóż pan, u djabła, czytuje tu przeszłoroczne gazety ?...

— Tak, proszę pana — dla „zabicia czasu"— pryncypał nie prenumeruje tegorocznych, mnie się nudzi, więc szukam rozrywki duchowej... w makulaturze... U nas tego jest dosyć — to się kupuje na funty, nie prenumeruje...

— I wystarcza to panu ?...

— Musi — zresztą, proszę pana, na świeżem powietrzu, to się i dziennikarską makulaturę strawi...

II.

Odbył się, tedy, w tych dniach w Szczawnicy niedzielny „reunion", w części na dochód domu akademickiego w Krakowie, a w części na tutejszy stały szpitalik zostający pod zarządem zakonnic. „Reunion" był dosyć liczny i bardzo ochoczy. Nie powiem, aby było dużo młodzieży, dobrze tańczącej, bo takich, istotnie, znalazło się mało, ale był humor, było życie, był animusz — to już o wyfryzowaną choreografię mniejsza... Tak, na ucho powiedziawszy, lepiej tańczą starsi, jak młodzi. Dr. Ściborowski np., lekarz zdrojowy, nie darmo już trzydzieści przeszło lat krzepi się szczawnickiem powietrzem... Bóg wie, który tam krzyżyk wszedł mu na barki, ale są one tak proste, że się po nich te krzyżyki ześlizgują i poważny syn Eskulapa, takie wycina hołupce i piruety, a trambluje tak energicznie, że nie jeden dwudziestokilkoletni młodzieniec musi to wszystko wypracować w czoła pocie, a tak mu się w nogach zawiasy porozluźniają, że na drugi dzień, hydropatja dra Kołączkowskiego musi to wszystko restaurować... Akademja Umiejętności powinna panu Ściborowskiemu wyznaczyć oddzielną, dożywotnią pensję, bo jest on dla Szczawnicy żyjącą i dotykalną reklamą zdrowia i siły mimo lat i poważnej siwizny... Nadobnych tancerek było... wszystkie były nadobne, a jeśli mam prawdę powiedzieć, to mężatki zakasowały panny z kretesem tego sezonu w Szczawnicy... Sezon ten mógłby się nazwać w kronice szczawnickiej, sezonem ładnych mężatek... Na „reunionie", o którym piszę, gdyby chodziło o królowę zostałaby nią pani W. i to odrazu z następcą tronu, bo mimo wdzięków młodości, ładny synek uwija się przy mateczce po deptaku i... matka, jest jeszcze piękniejszą...

Takiby padł wybór, jednogłośnie na „reunionie", ale po za nim, w szerokich kołach Szczawnicy, zawarłaby walka wyborcza... Druga mężatka, także z następcą tronu, pani S., ma prawo do korony piękności... Zdaje mi się jednak, że gdyby przyszło do „ściślejszego wyboru" — wielu usunęłoby się od głosowania i zaproponowało Rzeczpospolitą szczawnicką z rządzącym senatem najpiękniejszych mężatek. Ja pierwszy takbym zrobił, chociażby dlatego, aby uniknąć buntu w monarchji o koronę piękności....

Młodzież rozochociła się tak na „reunionie", że aż na deptaku powitała hymnem wschodzące słońce i odśpiewała serenadę przed oknem autorki „365 objadów" z konfiturami i jeszcze tam z czemciś...

Duszą zabawy na „reunionach", inicjatywą, zachętą i niezmordowanym łącznikiem, jest pan dyrektor Wiśniewski, którego tu nazywają „internacjonalnym człowiekiem". Rzeczywiście, kto się bliżej patrzy i kto umie obserwować, ten się przekona, ile to jest pracy, gdy się pragnie dostarczyć ludziom przyjemności... Pomówimy o tem w następnych listach, gdy będziemy pisali o Szczawnicy z ciężkiej beczki: o jej potrzebach, brakach, wygodach, o tem, co zrobiono, co się powinno zrobić i, co się da zrobić — dziś trzeba tylko wyczerpać bieżący materjał.

Więc mieliśmy także w ostatnich dniach przedstawienie teatralne artystów krakowskich · pani Siennickiej i pana Ruszkowskiego. Przedstawienie składało się z wielu znanych bluetek scenicznych i z jednego obrazku, który umyślnie napisał pan Ruszkowski p. t. *W Szczawnicy*. Obrazek to żywy, wesoły pełno w nim lokalnych aluzyj i konceptów — toż i śmiano się serdecznie, a głośno, tembardziej, że publiczności zebrało się dużo. Wszystko na tem przedstawieniu grano wybornie.

W blizkiej przyszłości mamy zapowiedziane: loterję fantową, poświęcenie sztandaru ofiarowanego przez państwa Wiśniewskich dla organizującej się flotyli na Dunajcu, no i teatr amatorski. Ten ostatni interesuje szersze koła szczawnickich kuracjuszów, bo udawanie artystów musi być i interesujące i ciekawe. W ogóle, nie jestem zwolennikiem amatorskich teatrów, wolę zawsze obiad ugotowany przez kucharza, aniżeli przez organistę, ale w Szczawnicy, idzie o zabawę, która znowu przysparza grosza na cel dobroczynny, więc niech tam sobie pomordują trochę autorów dramatycznych i niech się popastwią nad sztuką — z pewnością, ani pierwszym, ani drugiej nic nie zaszkodzi, a moneta dla tego, co boli i, co płacze, będzie...

I Miedziuś ruszył się, nareszcie, poprawił kapelusza na bakier i rozhulał się już na samym schyłku lipca. W willi „Marta", w dużej sali restauracyjnej, puszczono się w pląsy. I tu mężatki pięknością i wdziękiem jaśniały i przyćmiewały nieśmiało mrugające gwiazdki panieńskiego autoramentu... Bawiono się ochoczo w późną noc, a od hołupców mazurowych młodzieży i podtatusiałych kawalerów i niekawalerów, formalnie trzeszczała podłoga wywoskowana, zresztą, dokumentnie. Duszą towarzyskiego ożywienia, jest ten czcigodny radca Turnau z Krakowa, który, bardzo słusznie wychodzi z tej zasady, że „górna" Szczawnice tak dobrze nie może się obejść bez Miedziusia, jak Miedziuś bez „górnej" Szczawnicy — dwie te połowy muszą się wzajemnie dopełniać, jeśli Szczawnica ma wzrastać i pięknieć — to jest istne małżeństwo, a ponieważ obok uzdrawiających właściwości, hymen małżeństwa w Szczawnicy niepoślednią odgrywa rolę, więc „górna" i Miedziuś, nie powinny dawać złego przykładu z siebie... *A la guere, comme a la guere*, więc i w małżeństwie można się czasem podąsać, ale na krótko, a potem jeszcze gorętszy pocałunek i zawsze w głowie i w sercu powinna krzątać się myśl, i o tych dzieciach, co dorosły, i o tych, co dorastają, i o tych, co będą, bo... *a la guere comme a la guere...*

(Dalszy ciąg nastąpi).

Śmierć.

(Ciąg dalszy — patrz numer 17).

Zresztą, biedne Józisko było już tak zmęczone, że nie tylko lekcje z Hofmanem, lecz nawet lżejsza lektura powieści męczyć go zaczynała. A czytać lubił — ba! sam nawet czuł pociąg do pióra — chociaż próby dotychczasowe nie udawały się jakoś, bo redaktorowie wrzucali je do kosza. — Owocem tej żyłki literackiej był pomysł spisywania pamiętnika choroby, ale i na to pisanie już z trudnością mógł sobie pozwolić. Mimo to, gorączkowo rwie się jeszcze do życia, zdaje mu się, że łóżko go męczy, że gdyby wstał, mógłby wrócić do swoich lekcyj, za które chlebodawcy odesłali mu miesięczną pensję, nie potrąciwszy ani grosza za opuszczone godziny. Zrazu chciał im tę zwyżkę odesłać; ledwo mu zdołano to wytłómaczyć. Martwi go to jednakże, że za parę tygodni nawet na mieszkanie zabraknie mu pieniędzy! Szczęściem, że gospodyni, u której mieszka jest zacną osobą, która nawet podczas słabości jedzenie mu przysyła! Zadawalniając zaś kaprys chorego, pożyczyła mu fotel, na którym siedząc — wyobraża sobie biedny Józio, że jest zdrów, że niebawem będzie mógł wychodzić i pracować. Niestety — łudzi się, bo nawet przy pomocy Hofmana trudno mu jest przejść się po pokoju, gdyż wieczorem znowu gorączka wzmaga się do 39 stopni. — W dniu zaś następnym pokazały się nowe zastraszające objawy: krew rzuciła mu się gardłem, podczas rozmowy ze Stachem. Następstwem tego osłabienie i rozdrażnienie nerwów, które objawiło się w tem, że doktorowi Starzeckiemu począł wyrzucać powolną i bezskuteczną kurację. Wyrozumiały lekarz zniósł to cierpliwie — lecz poznał, że z pacjentem coraz gorzej — i zakomunikował to Stasiowi, który zmartwił się tem niepomału i zmartwienia tego maską obojętności pokryć nie umiał! Na dobitek Zosia straciła dwie lekcje, choć mniej korzystne i to ją tak zmartwiło, że niechcąc sprawiać choremu bratu przykrości swymi kłopotami, nie przychodziła wcale — wiedząc też doskonale, że nie potrafi wstrzymać się od płaczu, gdy ujrzy niemal umierającego! Bo przychodziły już takie chwile, że Józiek był konający. Rano obudził się zdrów zupełnie, żartował i śmiał się serdecznie. Czuł się tak dobrze, że papierosa zapalił. To go zgubiło. Lekkie zachłyśnięcie się dymem wywołało straszny atak kaszlu. Szamotał się całem ciałem do tego stopnia, że Stach uważał to za konwulsje. Pół godziny zeszło na takiej męczarni — aż wreszcie osłabł tak, że Staś złożył go na poduszki!

Nastąpiła chwila apatji. Chory czuje, co się koło niego dzieje, słyszy nawet odgłos otwierających się drzwi, widzi niemal wbiegającą siostrę a jednak leży, jak martwa kłoda drzewa! Niby czuje jakąś błogość w sobie, a jednak nagle znowu co chwila ksztusić się zaczyna. Krew mu zalewa głowę... gorąco — wciska się w poduszki — dusić się zaczyna. Naraz okropne wycie wydziera mu się z piersi — i traci niemal przytomność. Zaczyna się pasowanie. Głowa zaczyna się rozlatywać w kawały, w mózgu czuje ogień. — W płucach gra powietrze, jak wiatr na stepie. Czuje przepaść wszędzie wokoło siebie, gdzie wszystko czerwone — porpurowe — granatowe — w końcu czarne — w końcu nic już nie czuje, stracił zupełnie przytomność.

. . . .

W tem znowu ma czucie, jakby był zatrzymany nad przepaścią, w sercu mu widniej, jaśniej. — Odzyskał przytomność — lecz tylko na chwilę — bo znowu atak się powtórzył — i bezwładny opadł na poduszki. — Padając słyszy jednak wyraźnie głos „on kona" i szlochanie otaczających.

. . . .

Siła młodości zwyciężyła znowu. Nastąpiła reakcja, połączona z dziwną obojętnością na otoczenie. Zły, zirytowany, odwrócił się do ściany — przeleżał tak do samego wieczora, wkońcu zasnął. W nocy przybył lekarz i zapisał nowe lekarstwo. — Niestety bezowocne, bo raz rzucone w mózg nasienie śmierci, pomimo ciągłych zagłuszań, coraz bardziej urasta! *I. H. B.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z Chicago.

Drugi miesiąc istnienia wystawy dawno już minął, trzeci ma się ku końowi — a zwiedzających wystawę dotychczas znacznie mniej, niżby się spodziewać należało. Pomimo to, na twarzach dyrektorów wystawy wiecznie widzisz uśmiech zadowolenia, a z ust ich dziesięć razy na dzień, od dwóch miesięcy rozlegają się wyrazy „zobaczysz, co tu się dziać będzie w przyszłym miesiącu"! A podziwiać należy istotnie tę pewność siebie, ten humor panów dyrektorów, jeżeli zważymy, że w drugiej połowie miesiąca czerwca wystawę zwiedzało o 25 tysięcy osób dziennie mniej, niż w pierwszych dniach tego miesiąca. — Wciąż słyszymy krzyki: „Zmuście zarządy kolejowe do zniżenia cen za przejazdy"! Żądanie może słuszne, ale zagadka w tem, w jaki sposób „zmusić" do tego tych panów, którzy są całą gębą „panami" w tym wypadku. Nie bez głębszego znaczenia jest uwaga panny Kate Fiedl (znanej w Ameryce literatki), która powiedziała, że wystawie przydałby się bardzo jaki Barnum, który byłby już dawno urządził jakie tanie wycieczki do Chicago kolejno ze wszystkich zakątków tego wielkiego kraju.

Zarząd wystawy początkowo miał nadzieję, że będzie to przedbiębiorstwo, dające szalone zyski akcjonarjuszom. Teraz rozchodzi się już tylko o to, aby było czem płacić długi.

Znacie upały chicagoskie? Dziewięćdziesiąt stopni w cieniu — oto przeciętna temperatura tutejsza. Nie każdy stały mieszkaniec Chicago jest w stanie przyzwyczaić się do tutejszych upałów, nie pojmuję więc kompletnie, jak naszą temperaturę wytrzymują... laplandczycy, prawdziwi mieszkańcy wioski laplandzkiej, rozłożonej pośród czarodziejskiej Midway Plaisance.

A w wiosce tej mieszka 24 laplandczyków. Głową tej załogi jest „King Bull"; — ten „King Bull" nie jest prawdziwym królem, ale przydomek ten słusznie mu się należy, gdyż gotów każdego czasu cały porządek w swem państewku do góry nogami wywrócić, skoro się spostrzeże, że nie wszystko po jego idzie myśli. „King Bull" utrzymuje, że ma lat 112 (?) — tak nawet tradycja podobno niesie. Szałasy, które zamieszkują ci „Laps" (tak ich amerykanie przez skrócenie nazywają), przypominają wielce zwykłe namioty; w tych mieszkaniach pali się wiecznie ogień; szałasy więc pełne dymu, na co wcale, zdaje się, nie zważają ich mieszkanki. Szałas „Kinga Bulla" jest znacznie większy — niby pałac. Naturalnie, jedną z atrakcji tej wioski są renifery, które, dzięki codziennej kąpieli zapewne, dotychczas jeszcze nie powymierały z gorąca. Wogóle, wioska laplandzka warta zwiedzenia. Ale, gdy piękna czytelniczka zechce zwiedzić tę wioskę, niech nie zapomni wziąść ze sobą jaki upominek dla króla Bulla — dowody pamięci lubi on bardzo — a i to coś znaczy.

Ale zostawmy laplandczyków na pastwę podzwrotnikowych upałów i przejdźmy do sprawy, dla nas, polaków, znacznie ważniejszej.

Parę pism tutejszych występuje z myślą urządzenia w Chicago, podczas wystawy, „dnia polskiego". Inne narodowości, pomimo to, że są w Chicago wspaniale reprezentowane przez sztukę, przemysł itd., urządzają jeszcze swoje specjalne dnie narodowe, aby tem większą na siebie zwrócić uwagę całego świata. Mieliśmy już w taki sposób „dzień niemiecki", „dzień kanadyjski". Niebawem mieć będziemy dzień irlandzki, austro-węgierski etc. Nam polakom, których na wystawie nic zgoła światu nie przypomina (prócz kilkudziesięciu obrazów) „dzień polski" przydałby się tembardziej. A dzień polski mieć możemy, — trzeba chcieć tylko. „Nie ma wątpliwości — pisze tutejsza *Gazeta Katolicka* — że podniósłby on nas wysoko w oczach amerykanów; dniem tym dowiedlibyśmy, że ta wspaniała wystawa ma w polakach zupełnie tak dobrych wielbicieli i przyjaciół, jak w innych narodach. Pokazalibyśmy przez to, że nagromadzone na niej skarby i owoce pracy, przemysłu i genjuszu ludzkiego, jesteśmy w stanie także ocenić należycie."

Z dniem takim koniecznie należałoby połączyć wspaniałą olbrzymią demonstrację, — okazały pochód, w którymby wzięła udział jak największa liczba naszych towarzystw. W tym pochodzie, dla przypomnienia światu, że Polska miała liczne grono sławnych na cały świat uczonych, wodzów i wieszczów, wypadłoby wystąpić z paru wozami tryumfalnymi, na którychby mozna poumieszczać w odpowiedniem ugrupowaniu Kopernika, Sobieskiego, Pułaskiego i Kościuszkę (obok Washingtona), Mickiewicza itp.

Wreszcie *Gaz. Kat.* radzi rozpocząć sejmy Związku i Zjednoczenia takim „dniem polskim", po którym delegaci obu tych organizacyj, mogliby rozpocząć szereg właściwych czynności.

Sęk w tem, że, jak się zdaje, dziś są małe juz szanse, aby sejm Związku mógł być zwołany na d. 21 sierpnia, tj. na dzień oznaczony przez cenzora Przybyszewskiego.

Czasu zresztą do przygotowań mnóstwo. A jeżeli sprawą tą zajmie się komitet, złożony z ludzi energicznych, kwestji nie ulega, że mieć możemy „dzień polski", który przyniósłby nie tylko chlubę, ale nawet wiele praktycznego pożytku całej polonji amerykańskiej.

„The glorious Fourth", który z natury rzeczy, jest dniem amerykańskim, w „Białem Mieście" był specjalnie dniem takim. I co się tu działo! Pióro zbyt słabe, by opisać tę wspaniałą demonstrację wielkiego narodu. Co za entuzjazm! Co za tłumy! Jakie wspaniałe sceny, szczególnie wieczorem, gdy po zachodzie słońca zaczęto te wspaniałe domy, ozdobne ogrody i piękne wody oświecać ogniami sztucznymi. Dzień 4. lipca na całej publiczności a szczególnie na europejczykach wywrzeć musiał głębokie wrażenie. (Dzień 4. lipca jest dniem, w którym ogłoszono niepodległość trzynastu pierwotnych Stanów. *Przyp. red.).*

Było to święto godne wielkiej, wolnej Ameryki! Podług reportu urzędowego, w d. 4. lipca zwiedziło wystawę przeszło 300.000 osób. Nic więc dziwnego, że w tych gmachach imponujących nam dotychczas swym ogromem, było chwilami ciasno.. Następną wielką uroczystość zapowiedziano na dzień 14 b. m. Będzie to święto francuzów, którzy, jak wiadomo są swego rodzaju mistrzami w urządzaniu tego rodzaju demonstracyj. Życzymy im jak najświetniejszego powodzenia, choćby już dlatego, aby nieco przytrzeć nosa tutejszym niemcom, którzy jeszcze go nieznośniej zadzierają od owego „dnia niemieckiego".

Eho Abc.

Przekwitły wdzięki.

Biedna dziewczyno, twych ócz płomienie,
Co niegdyś strzały niosły dokoła
Zbladły, jak dziejów dawnych wspomnienie
I zarys zmarszczki widny u czoła...
Znikł uśmiech niegdyś tak luby, miękki,
...Przekwitły wdzięki!

I serca twego kwiaty nietknięte
Zeschły, jak liście późnej jesieni,
Twe czyste łono zawodem ścięte
I z głosu tchnie już walk wysilenie..
Czuję złowróżbne drżenie twej ręki,
...Przekwitły wdzięki!

Biedna dziewczyno! i cóż ci po tem,
Że ci tli w sercu zapał i wiara,
Że nikt nie kupił uczuć twych złotem..
Serce? to dawnych wieków dziś mara!
Złoto urąga z cnót twych poręki,
Gdy... zgasły wdzięki!

Na rynku świata uczuć skarbnicy
Brać za kapitał dziś już nie w modzie;
Z takimi skarby pośród ulicy
Ginie się dzisiaj, z nędzy, o głodzie!
Tylko ci echo zabrzmi piosenki:
...Przekwitły wdzięki!

A. Chołoniewski.

Teatr — koncerta — widowiska.

Skazani na letnią willegiaturę we Lwowie, mają sposobność wieczorne godziny spędzać bardzo przyjemnie w teatrze letnim, gdzie kaskady szczerego śmiechu wyw[...]je pan Frenkel. Niestety, lwowianie niezbyt są żądni biesiad artystycznych i wolą kosztować kwargle w zakładach gastronomicznych przedmiejskich — lub używać świeżego powietrza na wałach hetmańskich! Garstka jednakże stałych gości teatralnych, zachwyca się grą warszawskiego artysty, który dotąd występował w *Dworze w Władkowicach*, *Porwaniu Sabinek*, *Durand-Durand*, *Synu Giboyera i Mojej kuzynce*. — Mamy więc dość szeroką skalę rodzajów dramatycznych: farsę, kom[e]dję społeczną, farsę z podkładem satyrycznym, a wreszcie swojski obrazek obyczajowy na tle naszych stosunków malowany. Pan Frenkel umie zachować styl utworu. Dlatego jako Bąbecki, daje nam przepyszną sylwetę mieszczucha polskiego, podpatrzonego na bruku miejskim. — Jako dyrektor teatru Striese, jest ogromnie zabawny ze swoją powagą kierownika budy „prowincjonalnej". Jako ojciec pragnący wydać córkę tylko za słynnego adwokata jest śmieszny i umie zaznaczyć kontury karykatury tam, gdzie chodzi o wyszydzenie niemożliwych aspiracji owego rolnika francuskiego. W Marechalu jest typowym przedstawicielem mieszczanina francuskiego, który ufny w swój majątek, pnie się do arystokracji — a gdy ta go odpycha dla celów politycznych, z tą samą łatwością rzuca się w objęcia demokracji — jako „światowiec" wreszcie w „Kuzynce", był lekki i dystyngowany. Pan Frenkel wychowany w szkole Derynga — przeszedł pierwszą próbę artystystycznego ognia pod kierunkiem Koźmiana. Nie dziw zatem, że gra jego zawsze jest głęboko obmyślana i nie ogranicza się na łatwych szablonowych efektach, owych liczmanach gry, którymi posługują się niższego rodzaju komicy. Daje on zawsze głęboki psychologiczny podkład, w odpowiednich zaś ustępach roli ubarwia ją doskonale wykonanymi szczegółami, które zawsze wywołują huczne brawa audytorjum.

Te szczegóły jednakże są w każdej roli zastosowana do stylu utworu: w farsie są karykaturalne, a w komedji wyższej są zabawne zawsze, lecz nie graniczą nigdy z szarżą, owszem pomagają artyście do podkreślania satyry, lub pewnej zasadniczej myśli, do której autor większą przywiązywał wagę. — Podatna i ogromnie komiczna twarz artysty, nie wymaga zbytniej charakteryzacji, co dopomaga mu do niezwykłej ruchliwości muskułów, które odbijają każdego rodzaju uczucia. Otaczający gościa warszawskiego artyści lwowskiego teatru, nie tylko „dostrajają" się do gry Frenkla, jak raczy utrzymywać jeden z lwowskich recenzentów, lecz grają zawsze dobrze — czasami zaś wybornie nawet. Nie brak naturalnie nieraz i usterek: policzyć je jednakże należy na karb gorączkowego przygotowywania repertuaru, na czas gościnnych występów. Zważyć zresztą trzeba, że Warszawa ma teatr stołeczny, gdzie artysta ma kilka tygodni — nieraz miesięcy do przygotowywania sztuki — u nas, na prowincji, czas na to przeznaczony liczy się na dnie, nieraz na godziny nawet! Kto pisząc sprawozdania o teatrach galicyjskich i krytykując z trójnego recenzenta aktorów, nie pamięta o tem — świadczy, że nie zna stosunków teatralnych lub, że jest człowiekiem złej woli.

J. H. B.

Ciekawe rzeczy.

W Chicago istnieje firma Armur et Comp. trudniąca się rzezią i przeróbką artykułów mięsnych. Firma ta w r. ubiegłym do 1 kwietnia spotrzebowała 1 milion 750 tys. świń, 1 milion 800 tys. bydląt i 625 tys. baranów, a sprzedała wyrobów mięsnych i mięsa samego za 102 miliony dolarów (dolar = 2 zł. 50 bt.). We fabrykach i rzeźniach tejże firmy zatrudnionych bywa 11 tys. ludzi, pobierających rocznie przeszło 1 milion zł. płacy. Do przewożenia smalcu, okrasy, szynek, kiełbas itp. oraz mięsa zajętych było bezustannie 700 koni i 4000 wagonów kolejowych. Prócz tego zatrudnia ta firma 750 ludzi we fabryce kleju, wyrabiającej rocznie do 12 milionów funtów.

W rzeźniach świń bito codziennie w miesiącach zimowych do 10 tys wieprzy i te wszystkie codziennie wyprawiono, a przytem 4 500 bydląt. Obok rzeźni istnieją obszerne i praktycznie założone lodownie i hale do marynowania mięsa. Firma Armur i Spółka jest największym podobnym zakładem na świecie.

Zbadaniem natury much i znaczeniem ich, jako rozsadników chorób zaraźliwych, zajmowało się w ostatnich zwłaszcza czasach kilku uczonych lekarzy i przyrodników. Świadectwo zaś, jakie im udzielili, wykazuje stanowczo, że pośrednictwo much, gnieżdżących się wszędzie, gdzie tylko człowiek osiądzie, przyczynia się bardzo do szerzenia chorób takich, jak: ospa, szkarlatyna, cholera, suchoty itp. Dzieje się to zaś dzięki budowie nóg muchy, opatrzonych ssawkami, chwytającemi pokarm, a wraz z nim rozmaitego rodzaju zarazki. Ponieważ zaś muchy w wyborze pożywienia dla siebie nie są wybredne i szukają go we wszelkiego rodzaju odpadkach i śmieciach, w których najlepiej się hodują bakcyllusy, rzecz prosta zatem, że przenoszą też owe bakcyllusy i szczepią w ten sposób choroby. Co do szerzenia cholery, stwierdziły to badania dra Kocha i innych. Wrogiem much jest rodzaj grzybka, pasożyta, który ku jesieni milionami je zabija. Jako środek zaradczy przeciw muchom w czasie epidemji, należy mieszkanie skrapiać rozcieńczonym sublimatem. Skutecznie także odpędza muchy roślina ricinusa, której zapachu owad ten nie znosi.

Przyciąganie piorunu przez drzewa jest u różnych gatunków różne. Najczęściej uderzają pioruny w dęby, najrzadziej w buki i to w takim stosunku, że na jedno uderzenie piorunu w buka, przypada 54 uderzeń w dęba, 40 uderzeń w topole, lipy i inne drzewa liściaste, a 15 uderzeń w drzewa szpilkowe. Tak samo i różne rodzaje ziemi nie jednakowo piorun przyciągają, bo na jedno uderzenie piorunu w ziemię wapienną, przypadają 2 uderzenia w ziemię marglową, 9 w piaszczystą, a 22 uderzeń w ziemię gliniastą; z czego znowu wynika, że rażonego piorunem należy zakopywać w ziemię gliniastą po szyję, bo ziemia gliniasta najbardziej siłę piorunu z ciała wyciąga.

Praktyczne wiadomości.

Nowy opał. Londyńskie towarzystwo „Petrole Pionee Corporation" wyrabia do użytku domowego i przemysłowego cegiełki — z nafty. Siła ogrzewająca tego nowego opału jest znacznie większą od siły węgla kamiennego i kosztuje przytem 10 proc. taniej. Parowiec zabierający zwykle 1000 ton węgla, będzie potrzebował zabierać tylko 200 ton owych cegiełek. Naftę, po dodaniu pewnej domieszki chemicznej, ogrzewa się do 260 stopni C., przy której mięszanina się zgęszcza i w stopniu należytym nadaje się jej postać cegiełek.

Białe rękawiczki glansowane zamiast benzyną, prać można w ciepłej wodzie mydlanej, do której na litr dodaje się białko rozbite na pianę z jednego jaja, oraz dolewa kilka kropli salmiaku. Rękawiczki włożyć należy na rękę i tak prać, a potem wycierać wełnianym płatkiem i ususzyć w miejscu nie wystawionem na słońce; pozostaną one miękkiemi i elastycznemi.

Klej, by nie puszczał w miejscu wilgotnem, należy tak przygotować: Moczy się go poprzednio, by tafelki napęczniały do gęstości dobrze zsiadłego mleka, poczem dolewa się lnianego oleju i z nim razem rozpuszcza sie przy słabym ogniu. Klej taki wytrzymały jest na wilgoć.

Kury znoszą niekiedy miękkie, cienką tylko białą powłoką otoczone jaja; pochodzi to ztąd, że nie mają dostatecznej ilości wapna w paszy, a trzymane są w miejscach, gdzie same o wapno postarać się nie mogą. Skorupa średniego jaja kurzego waży około 7 gramów, a że w tej skorupie zawartych jest 95 procent węglanu wapna, zatem w każdym kurniku należy umieścić sproszkowaną kredę, bardzo tanią w każdej drogerji. Korzyść ta, że więcej jaj kury zniosą.

Od Wydawnictwa.

Prosimy wszystkich prenumeratorów, aby pospieszyli z odesłaniem tak bieżącej, jak zalegającej prenumeraty, gdyż wydawnictwo ma liczne wydatki i wszelkie zaległe rachunki są dla niego zbyt uciążliwe.

Wszelkie należytości odsełać nalczy do: ***Administracji „Gońca i Iskry" we Lwowie,*** *ulica Kraszewskiego l. 23.*

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan Kaź. Kal. we Lwowie. Utwory pańskie otrzymaliśmy — dwa wiersze znajdują się w numerze bieżącym „Wesołego Kurjerka", inne będą później umieszczone.

Pan W. S. w Krynicy. Odpowiadamy listownie.

Autorom wierszy: „Dzika różyczka", „Zerwany kwiat", „Po burzy" — utwory panów drukowane nie będą.

Pan St. Kort w Wiedniu „Wakacje Leny" nie nadają się do druku. Znać w nich pewien talent pisarski, ale nader wadliwą jest ich budowa i rozwlekłe opowiadanie.

Nadesłane.

Z Muszyny.

Przejeżdżającym do Krynicy i w inne strony, oraz osiadającym na lato w samej Muszynie, pożądaną będzie wiadomość, że w Muszynie na dworcu kolejowym, znajduje się **doskonała i tania restauracja,** którą bardzo sumiennie prowadzi pan *Wincenty Smołczyński*. Rzeczywiście, kuchnia zdrowa, smaczna i czysta — usługa uprzejma i skrzętna, a ceny umiarkowane. Radzimy każdemu, kto się zatrzymuje w Muszynie, czy do dalszej podróży na Węgry, czy na trzęsący wózek do Krynicy, czy, wreszcie, pozostaje w Muszynie, aby się kąpać w Popradzie, niech się u pana Smołczyńskiego pokrzepi, a z pewnością będzie zadowolnionym z rzetelności restauratora, który na każdym kroku stara się we wszystkiem dogodzić, jak najlepiej. (5872-4-3)

Znana od szeregu lat z rzetelności firma *P. Czapczyńskiego* we Lwowie, przeniosła swój **magazyn futer** na **ulicę Jagiellońską pod l. 12**. Pan Czapczyński rozszerzając lokalności swego magazynu, zaopatrzył takowe w najbogatszy wybór różnorodnych futer już gotowych we wszystkich najnowszych fasonach: damskie, męskie, podróżne i miejskie. Wielki wybór skórek na futra pojedyńczo i hurtownie, oraz najnowsze materjały na wierzchy do futer, w które zaopatruje się z pierwszorzędnych fabryk, polecając takowe po cenach fabrycznych.

Na całe lato **przeciw molom** przyjmuje futra do przechowania za skromnem wynagrodzeniem. (5854-3-2).

Restauracja na dworcu kolejowym Kleinkopfa w Brodach, uzyskawszy dobrego kucharza poleca P. T. Publiczności wyborne i zdrowe potrawy, bufet zaopatrzony w doskonałe wódki, likiery, wina, piwa i t. p. napoje, licząc zawsze najniższe ceny za spożyte napoje i potrawy. Taka rzetelność obecnego restauratora na dworcu w Brodach, zasługuje na uznanie i poparcie. (5732—3—6)

Po najtańszych cenach smaczne i bardzo starannie wypiekane wszelkiego rodzaju pieczywo, poleca *St. Wacław Hess*, właściciel piekarni postępowej we Lwowie przy ulicy Żółkiewskiej l. 99. (5864-5-2).

IWONICZ

Zakład zdrojowo-kąpielowy i klimatyczny

Szczawy alkaliczno-słone jodo-bromowe,

skuteczne w chorobach skrofulicznych, skórnych, syfilitycznych, reumatyzmie, nieżytach błon śluzowych, zapaleniach stawów, okostnej i w rozlicznych chorobach kobiecych.

Kąpiele pełne jodowe w trzech budynkach łaziebnych, borowinowe, igliwiowe, tuszowe, basenowe rzeczne.

Kąpiele lokalne wszelkiego rodzaju, inhalacje.

Mleko, żentyca, kefir.

Lekarze ordynujący: Dr. Kl. Dębicki, lekarz zakładu, Prof Dr. Łukasiewicz, Dr. Kaz. Kaden, Dr. Rościszewski (operator).

Apteka, poczta i telegraf w miejscu.

Zakład gimnastyczny pod kierunkiem specjalisty.

Położenie Zakładu urocze, wśród lasów szpilkowych, powietrze górskie wzmacniające, wolne od pyłu i organicznych zanieczyszczeń. Rozległe spacery w lasach.

Okolica malownicza i zajmująca.

Oświetlenie elektryczne. Znakomita orkiestra. 5851—6—5

Pora lecznicza od 20. maja do końca września.

W czasie do 20. czerwca i po 20. sierpnia mieszkania znacznie tańsze.

Zgłoszenia załatwia **Dyrekcja.**

Prezent Tygodnika „Ojczyzny"

w Ameryce



Redakcja Tygodnika „Ojczyzna"

chcąc utrwalić pamięć w sercach wszystkich łaskawych swoich abonentów jak drogą i sławną była przeszłość naszej utraconej **Polski**, zakupiła obrazy „Pamiątkę obchodu 3-go Maja" i te daje w prezencie każdemu z abonentów, płacącemu z góry całoroczną prenumeratę. (5834-12-2)

Obraz ten, chociaż jeden, zawiera w sobie w rzeczywistości sześć innych, nie licząc wszystkich portretów Królów Polskich i innych sławnych ludzi. Obraz ten jest pięknie rysowany i żywymi kolorami, ze znajomością sztuki malowany. Zapisujcie sobie więc „Ojczyznę", a płacąc **dolara i pół** (3 złr. 60 ct. w. a.) dostaniecie naszą gazetę na **cały rok i obraz**, którego moralna wartość jest bez ceny, a materjalna równa się także cenie rocznej prenumeraty.

Cleveland. Superior & Grafton utic., (Ameryka).

RYMANÓW

Zakład zdrojowo-kąpielowy

ze źródłami słonemi, jod, brom i lit zawierającemi.

Pora kąpielowa rozpoczyna się z dniem 20. maja i dzieli się na trzy okresy, tj. I. od 20. maja do 19. czerwca, II. od 20. czerwca do 19. sierpnia. III. od 20. sierpnia do 20 września.

W I. i III. okresie mieszkania w domach, będących własnością Zakładu o 20% tańsze. Od taksy zdrojowej uwolnieni być mogą tylko w I. i II. okresie ubodzy, zaopatrzeni w świadectwa ubóstwa, przez odnośne c. k. Starostwo zatwierdzone. — 2 restauracje, muzyka zakładowa, sklepy, piekarnia, rzeźnia i t. p. w Zakładzie.

Stacja „Rymanów" c. k. kolei państwowej odległa od Zakładu o 8 kilometrów; poczta, telegraf i apteka w miejscu.

Lekarzem zakładowym **dr. Józef Dukiet** z Przemyśla; oprócz niego ordynują i inni lekarze.

Zakład rozsyła **wodę mineralną** ze wszystkich trzech źródeł, która na każde zamówienie bywa świeżo napełnioną; **sól leczniczą** do kąpieli i do użytku wewnętrznego, tudzież **ług bromo-jodowy.**

Wszelkich objaśnień udziela i broszurki rozsyła **Dyrekcja Zakładu zdrojowo-kąpielowego w Rymanowie.**

5852—6—5

„PATRYOTA"

pismo polskie tygodniowe

wychodzi w każdy piątek w Philadelfii (w Ameryce północnej).

Adres Redakcji i Administracji:

845 S. Front Str. ***Philadelphia, Pa*** *(N. America).*

T. Wąsowicz, wydawca. **W. Romanowski,** redaktor.

Prenumerata roczna wynosi w Ameryce $1^1/_2$ dol., we Francji 10 fr., w Niemczech 8 marek, **w Austrji 4 złr.**

Tendencja pisma tego jest prawdziwie patrjotyczna, i jako takie polecamy szczerze ogółowi polskiemu, w celu poparcia go przez liczną prenumeratę. (5905-12-1)

Skład fortepianów i pianin

B. Gabryelskiej (5700-24-17).

Krzysztofory — w Krakowie.

a) **Sprzedaję wszystkie nowe fortepiany i pianina** mojego składu 5% poniżej cen fabrycznych i zadowalniam się resztą otrzymanego od fabrykantów rabatu. Że tak jest rzeczywiście, o tem można się łatwo przekonać przy pomocy już to zniesienia się wprost z fabryką, które każdemu jak najchętniej ułatwiam, jużto cenników i książek rachunkowych, które wszystkim z całą gotowością pokazuję. — *b)* Częścią reszty, która mi pozostaje od fabrycznego rabatu, opłacam wszystkie koszta przewozu, danego narzędzia muzycznego od fabryki aż do miejsca przeznaczenia. — *c)* Na żądanie wysełam fortepiany i pianina ze wskazanej mi fabryki wprost pod wskazanymi adresami i sprzedaję je na tych samych warunkach, na których sprzedaję narzędzia muzyczne znajdujące się na moim składzie; każdy więc taki fortepian, który (n. p. w Wiedniu) kosztuje na miejscu we fabryce 400 złr., a z opakowaniem i dostawą (n p. do Tarnowa) kosztowałby 430 złr., sprzedaje za 380 złr. i odstawiam do Tarnowa bezpłatnie. — *d)* Za wszystkie nowe, nawet najtańsze narzędzia muzyczne mojego składu (a więc za fortepiany od 300 złr. i pianina od 200 złr.) daję porękę 20-letnią. — *e)* Każde narzędzie muzyczne kupione u mnie (albo w moim składzie, albo w jakiejkolwiek fabryce za moim pośrednictwem) przyjmuję napowrót w tej samej cenie, w jakiej je sprzedałam i wymieniam na inne. jeżeli kto tego zażąda w przeciągu trzech miesięcy od kupna. — *f)* Sprzedając fortepiany i pianina na raty (chociażby po 10 złr. miesięcznie) nie żądam za nie ani centa więcej, jak sprzedając je za gotówke. — *g)* Narzędzia muzyczne używane wymieniam za dopłatą na nowe — *h)* W sprzedaży fortepianów i pianin wstawionych u mnie w komis 5700 24—12. 13. 14. dod. pośredniczę bezinteresownie.

Na sezon letni

w Krynicy

w c. k. domu zdrojowym (Kurhauzie) poleca własne wyroby

OBUWIA

męskiego, damskiego i dla dzieci, wykonywa takowe podług najnowszego fasonu i żurnali paryskich *po cenach najumiarkowańszych.*

Polecając się najuprzejmiej P. T. Publiczności, prosi o liczne odwiedziny z najgłębszym szacunkiem

T. Gawlik ze Lwowa.

5904 4-1

Wszelkie towary korzenne

po najumiarkowańszych cenach, dla okolicy **Czarnego Dunajca,** poleca 5896-3-1

Stötter kupiec w Czarnym Dunajcu.

Swoją restaurację,

urządzoną z komfortem, zaopatrzoną w doborowe napoje, kuchnię doskonałą, poleca przejezdnej P. T. Publiczności do Zakopanego,

Pawlica, restaurator **w Jaszczurówce.**

5894-3-1

Zakład zegarmistrza

L. Bojarskiego

w Przemyślu

poleca swój skład zegarków kieszonkowych, zegarów pendułowych, oraz biżuterji wszelkiego rodzaju.

Reperacje tak zegarmistrzowskie, jako też jubilerskie wykonuje szybko z poręczeniem.

Reprezentant fabryki I. Siegrist & Co w Genewie. 5886-4-1

St. Kakowski

Następca firmy Kopacz

w Stanisławowie.

Handel korzenny i delikatesów, wielki wybór różnorodnych win, rumu koniaku, skład **prawdziwej herbaty rosyjskiej,** itp. poleca po cenach najprzystępniejszych.

5488—15—15.

Znana od lat wielu restauracja **Adama Kozłowskiego** w [illegible] poleca się szan[illegible] poleca najwyborniejsze p[illegible] wo i smacznie przyrządzane pod osobistym nadzorem właściciela. Bufet restauracyjny zaopatrzony w różnorodne napoje, oraz we wszelkiego rodzaju przekąski. Ceny umiarkowane, usługa szybka i czysto ubrana.

5898-3-1

OGŁOSZENIE.

Mam zaszczyt zawiadomić P. T. Gości kąpielowych, iż tak jak w ubiegłych latach, tak i w tym roku otworzyłem w pawilonie pod Zamkiem w **KRYNICY**

Główny skład szynek,

oraz wyrobów masarskich wszelkiego rodzaju, tak krajowych jak i zagranicznych. 5903-3-1

W pokojach gościnnych bywają podawane śniadania, piwo okocimskie beczkowe i butelkowe.

Ceny jak najniższe.

Polecając się nadal łaskawym względom Szanownej Publiczności, kreślę się z uszanowaniem

Józef Kmietowicz.

Pieczywo,

smaczne, zdrowe i starannie wypiekane, dwa razy dziennie, poleca

A. BLUMENFELD, piekarz w PRZEMYŚLU.

5897-3-1

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Illustracje odbite w litografji A. Plutera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17.